

P i o t r   Z a r e m b a



plama  
na  
suficie





w serii ukazały się:

Artur Baniewicz *Góra Trzech Szkieletów*

Artur Baniewicz *Drzymalski przeciw Rzeczpospolitej*

Anna Bojarska *List otwarty do królowej Wiktorii*

Anna Bojarska *Ja*

Marek Bukowski *Wysłannik szatana*

Max Cegielski *Apokalipso*

Andrzej Horubała *Farciarz*

Witold Horwath *Seans*

Grażyna Jagielska *Korespondent*

Krystyna Kofta *Krótką historią Iwony Tramp*

Marek Ławrynowicz *Kino „Szpak”*

Marek Ławrynowicz *Pogoda dla wszystkich*

Gabriel Meretik *Kryptonim „Luksemburg”*

Tomasz Mirkowicz *Pielgrzymka do Ziemi Świętej Egiptu*

Joanna Rudniańska *Miejsca*

Hanna Samson *Pułapka na motyla*

Małgorzata Saramonowicz *Siostra*

Małgorzata Saramonowicz *Lustra*

Jerzy Sosnowski *Apokryf Agłai*

Jerzy Sosnowski *Linia nocna*

Marcin Wolski *Alterland*

Mariusz Ziomecki *Lato nieśmiertelnych*

P i o t r   Z a r e m b a

plama  
na  
suficie

Wydawnictwo  
arab  
two

## PROLOG. TRZY DNI WCZEŚNIEJ. CZWARTEK

*Wszystko na próżno, ponieważ marionetki, zamiast grać dalej, podwoiły hałas i wrzaski i wzięwszy Pinokia na ramiona, zaniósły go w triumfie przed rampę.*

*A wtedy ukazał się dyrektor teatru marionetek, olbrzym tak brzydki, że sam jego widok wzbudzał trwogę. Miał brodę czarną jak wielka plama atramentu, a tak długą, że od podbródka sięgała mu aż do ziemi; dość powiedzieć, że kiedy kroczył, przydeptywał ją sobie nogami. Gęba jego była tak szeroka jak czeluść pieca, oczy wyglądały jak dwie latarnie z czerwonego szkła z płonącymi wewnątrz światełkami, a wielki bat, którym strzelał, zrobiony był z wężów i lisich ogonów.*

*Niespodziewane zjawienie się dyrektora zaparło wszystkim oddech. Można było usłyszeć latanie muchy. Biedne marionetki obojga płci drżały jak liście.*

*- Czy przyszedłeś, żeby wywołać zamęt w moim teatrze? - zapytał Pinokia właściciel marionetek głosem silnie zakatarzonej Piekielnej Poczwary.*

*- Jaśnie panie, proszę mi wierzyć, że to nie moja wina!...*

*- Dobrze, dobrze! Wieczorem porachujemy się.*

### 1.

Osiedle Żółtych Bloków szykowało się do kataklizmu.

Powietrze było nieruchome i lepkie, a ciemniejące niebo chyliło się nad domami. Ludzie przemykali się chodnikami i asfaltowymi alejkami ze słabo skrywaną nerwowością. Próbowali nie ulegać panice. Do końca wyprowadzali psy, parkowali lub uruchamiali samochody, wpadali do sklepów i wypadali z nich, gromadzili się przy kioskach Ruchu, względnie gnali do klatek schodowych, odczuwając ulgę, gdy wreszcie zamknęli za sobą drzwi.

Na rozległym trawniku pomiędzy blokami a dwupasmo-  
wą jezdnią grupa młodych straceńców wciąż biegła za ła-  
ciatą piłką. Marek Wiertas, obciążony sporą granatową torbą  
z napisem Adidas, omiół graczy krótkim, lekceważącym  
spojrzeniem. Przyśpieszył nieznacznie kroku. Był na ostat-  
niej prostej przed klatką schodową domu numer osiemdzie-  
siąt. Wiedział już, że ocalał.

Nieopodal wejściowych drzwi trzech mali chłopcy podże-  
gali piskliwymi okrzykami ospalego włochatego kundla, pró-  
bując zainteresować go kotem, który skrył się pod stalowo-  
niebieską ladą. Wiertasowi żal było kota. Uznał jednak, że  
rola obrońcy zwierzaka może go tylko ośmieszyć. Wsiadał  
do windy z nadzieją, że kot i tak się ocali.

Wszystkie koty, jakie do tej pory spotykał, wychodziły  
z opresji cało. Wszystkie... z wyjątkiem jednego, którego roz-  
szarpał pies kolegi Marka z przedszkola. Ale gdy to się stało,  
w Polsce rządził jeszcze Jaruzelski. Musiało to więc być  
dawno.

W mieszkaniu na trzecim piętrze Wiertas uwolnił się  
od ciężkawej torby. Porzucił ją w przedpokoju. Przeszedł  
po wysłizganej wykładzinie przez większy pokój, otworzył  
drzwi na balkon. Zaraz potem zawrócił w głąb mieszkania  
do telefonu.

Zawsze odczuwał niemiłe podniecenie, gdy wykręcał ten  
numer.

- Halo! - zachrypiał w słuchawce dobrze znajomy głos.  
- Halo! Halo! No co jest?

Nic nie jest, ty chuju - pomyślał Marek Wiertas i wcisnął  
czerwoną słuchawkę na widelki.

Był długowłosym, rudawym, dwudziestojednoletnim ole-  
waczem o zaczerwienionych policzkach i odrobinę zmętnia-  
łym spojrzeniu średnio zaawansowanych palaczy trawy. Bar-  
dzo chciał się nie bać ciemniejącego nieba za oknem i drzwi  
na klatkę schodową. Tyle że za takimi drzwiami ktoś mógł  
stać przecież i czekać, aż w końcu się ściemni. A wtedy...

No to co wtedy? Co wtedy? Jesteś przecież dużym chłopcem. Kto po ciebie sięgnie?

Włączył gwałtownym ruchem światło i zaraz potem telewizor. Łagodny męski głos akompaniował pierwszym kroplom bębniącym w parapet. Powiadał z subtelnym odcieniem satysfakcji o czyichś protestach gdzieś nie w Polsce.

## 2.

- Każdego dnia pan tu sobie tak posiada - stwierdzenia Elżbiety Lubiniec trudno było nie zaliczyć do kategorii retorycznych. - Na deszcz się zbiera znowu. Powinno już trochę być lata, a ciągle chłodno, chociaż to się prawie koniec czerwca zrobił. A w zeszłym roku, pamięta pan, jak to było? Upały. Ciągle upały.

Juliusz Dębczak, przysadzisty sześćdziesięciosiedmioletni mężczyzna w przyzwoitym garniturze z ciemnopopielatej wełny i ciężkich, czarnych, starannie wyczyszczonych półbutach, ogarnął sąsiadkę obojętnym spojrzeniem. Miała wrażenie, że obserwuje ją przez nieco zmętniałą szybę.

- No więc? - odpowiedział jej wreszcie. - A pani chciałaby, żeby było gorąco?

- Właściwie... - nie potrafiła zająć jednoznacznego stanowiska. Miała okrągłą, rumianą twarz z młodzieńczo delikatnym meszkiem pod zadartym nosem i na obrzeżach policzków. Nosila okulary w żółtej metalowej oprawce. Szary żakiet w popielatą kratkę zawdzięczała siostrze w Holandii. Skończyła niedawno sześćdziesiąt jeden lat.

- Wielki upał też rzeczywiście źle - rozważała niezdecydowana. - Ale z drugiej strony, tak jak dziś, to chyba już najgorzej... - Zerknęła z niepokojem na niebo.

- Dla nas żadna pogoda nie jest dość dobra - podsumował kategoricznie, choć trochę niejasno mężczyzna.

- Tak pan uważa? - Stała przy ławce, ale nie miała ochoty siadać, choć przy zwałistym tułowi Dębczaka było jeszcze sporo miejsca. - No w pewnym sensie, ale...

Nie patrzył już na nią więcej, wodził wyblakłymi oczami po zszarzałej fasadzie domu. Właśnie osiągnął łagodną spadzistość dachu, przemknął się po falistej attyce, aby wrócić w dół z czarną rynną na wydeptany trawnik. Budynek był ciężkawy, a przecież patrząc nań, mężczyzna myślał za każdym prawie razem o bezbronności. Właśnie to słowo przychodziło mu do głowy.

Nienaturalny skwerek, w który rozszerzała się przed domem wąska uliczka, zaświadczał o smutnym losie domu. O tym, jak odarto go z ogrodzenia, odebrano miękką otulinę ogrodu. Jak połączono jego solidny próg z przypadkowym asfaltem jezdni najnędrniejszą płaszczyzną źle zatrawionej ziemi i nierównego chodnika.

- Słyszałam, ma pan nową lokatorkę - Lubiniec dyplomatycznie zmieniła temat. - To znaczy, to pan Poszwiej właściwie... Kto to? Chyba to nie tajemnica?

- Nie tajemnica - burknął. - Przyjeżdża z prowincji. Córka mojej dawnej znajomej.

A więc istniały dawne znajome Dębczaka spod trójki. Pogodziła się z tym odkryciem po pół minucie.

- Pewnie to porządna dziewczyna... Na prowincji młodzież chyba jakaś jest spokojniejsza niż tutaj - zdobyła się na wniosek. - Zresztą wszyscy tam są spokojniejsi. A tamta nie wróci? I naprawdę pojechała do Brazylii? - Tym razem nie odpowiedział. - A kiedy ta nowa przyjedzie do pana? - spróbowała powrotu do bezpieczniejszego tematu.

- Nie dla mnie przecież przyjeżdża, tylko dla siebie - dowiódł, że nie ma tak naprawdę bezpiecznych tematów. - Za parę dni - obdarzył ją jednak łaskawie informacją. - Jej matka nie lubi Warszawy. Myśli, że córkę może tu coś spotkać.

- A czy to nieprawda? - Elżbieta Lubiniec chętnie potwierdzała opinie swoich rozmówców, ba, szukała dla nich własnych uzasadnień. - Tu obok, na Kawczej, słyszał pan?

Zadżgano mężczyznę, miał przy sobie pieniądze, żeby meble kupić.

- Nie słyszałem - pokręcił obojętnie głową.

- Nie od razu go znaleziono, bo leżał w krzakach, tam są takie gęste krzaki, przechodził pan pewnie nieraz - opowiadała niezrażona. - Dopiero żona narobiła alarmu... A słyszał pan taką dawniejszą historię z osiedla Ostrobramska? Szła tam sobie kobieta zimą, w futrze, między domami. Nagle wyskakują do niej dwa oprychy. Zdzierają z niej futro, futrzaną czapkę z głowy. Potem stać każą nieruchomo i z zamkniętymi oczami, żeby czekała, aż odejdą. Oczy, pan rozumie, żeby nie widziała, gdzie odchodzą, w którą stronę. Zjawia się za moment inny człowiek - Elżbieta Lubiniec zaczerpnęła powietrza. - Ona mu opowiada, co się stało, a on pyta, czy poznałaby tamtych dwóch. Ona mówi, że tak, poznałabym. Wtedy on wyjmuje brzytwę i jej przejeżdża po oczach. Słyszał pan może o tym, historia sprzed paru lat...

- Nie słyszałem - ziewnął ostentacyjnie. - Jak o mnie chodzi, myślę, że to się wcale nie zdarzyło.

- Jak to? - nie przewidziała takiej ewentualności. - Jak mogło się nie zdarzyć?

- Myślę, że nie - powtórzył raz jeszcze bez litości. - Kto teraz nosi ze sobą brzytwę? A pamięta pani, jak też dobre parę lat temu ludzie opowiadali, że w pasażu przy Marszałkowskiej kłują przechodniów strzykawkami z AIDS? I co? Była to może prawda? Zwykle duperele. - Wywołał jej gwałtowne wzdrygnięcie.

Dźwignął się z ławki, poczłapał ciężko do domu. Patrzyła za nim ze zgrozą, jak za kimś, kto sprofanował ołtarz. Nawet wiek nie chronił go przed jej zaocznym wyrokiem, wydanym z odległości paru metrów. Potępiając go, wyczuła pierwszą kroplę na policzku.

## 3.

O godzinie jedenastej pięć Marek Wiertas skończył trzecie piwo i wdał się w krótką kłótnię ze swym kolegą Gracjanem Zawadzkiem.

– Spadaj, Gracek-sracek – powiedział mu w końcu twardo, podrażniony sepleniącym głosem blondynka i jego rozognionymi pryszczami na szyi i podbródku. Wykpił te pryszczki paroma celnymi słowami i wyniósł się z bilardziarni. Dziewczyna poszła za nim, jak miała w zwyczaju przez kilka ostatnich miesięcy.

O jedenastej trzydzieści pożegnał się ze swoją towarzyszką. Pozwolił jej odejść do małego domku, w którym mieszkała. Sam zawrócił ziemistą drogą ku placykowi, gdzie przed chwilą zaparkował samochód. Mały, pusty placyk, a właściwie zakole asfaltu, wrzynał się w anemiczny laszek-parczek. Sprawiał tak przypadkowe wrażenie, że można było zwątpić w sens jego istnienia. Dążąc do niego, Marek kluczył długimi, mechanicznymi susami pośród świeżych kałuż. Nie myślał o niczym.

Już z dala dostrzegł kogoś przy swoim starym fiacie, oświetlonym różową latarnią. Mały, chudy człowieczek dosłownie przykleił się do przedniej części wozu. Jego prawą rękę pochłaniała mroczna szczelina w samochodowym oknie. Wiertas starał się pozbierać własne myśli. Przed pięcioma, może siedmioma minutami wysiadł z samochodu po ledwie kilometrze jazdy. Działał jak zwykle machinalnie, jednak tym razem piwo pomieszało widocznie szyk rutynowych czynności. Nie przypilnował domknięcia szyby, którą spuściła wcześniej – w łapczywym poszukiwaniu przewiewu – jego dziewczyna. A teraz stary grzdyl dobierał się do pojazdu, jakby Marek W. był byle dupkiem.

– Hej, dziadek! – z ręką schowaną pod ciężką, rockerską kurtką z czarnej skóry Wiertas chlasnął mężczyzną głosem

pełnym ostrzegawczego napięcia. – Nie pomyliłeś się? Kraść w twoim wieku! Zostaw to nam, młodszym.

Intruz odkręcił głowę, ale nie cofnął ręki wciśniętej między szybę i obramowanie okna. Był odziany w niebieską bluzę od dresu (nieświeża, to Wiertas wiedział na pewno), zielonkawe płócienne spodnie i szare znoszone trampki. Wszystko to nie bardzo pasowało do siebie nawzajem, choć pasowało do wychudłej, zaczerwienionej twarzy, najeżonej kilkudniowym kosmatym zarostem.

Gdzieś go już, dziada, nie widział czasem? Nie mignął mu kiedyś choćby przed bilardziarnią? Nie, był na to przecież zbyt śmieszny. Gdyby Marek go przedtem zobaczył, musiałby się jakoś odnieść do jego istnienia, choćby przelotnie w myślach.

– A kysz! A kysz! – wrzasnął nagle nieznamy, wciąż z ręką w oknie. Jego dziwacznie wykręcony tułów dygotał. – Nie rusz mnie, punku! Nie ruszaj mnie!

Przez moment Wiertas przenosił ciężar ciała z lewej nogi na prawą i z powrotem. Rozwahał, jak postąpić z kimś do tego stopnia śmiesznym, by się samemu nie ośmieszyć, bo śmiesznym być nie lubił. Zrazu miał tylko zamiar zmusić go, aby spadał. Jednak skrzeczący głos faceta dźgnął go w jakiś czuły punkt mózgu, wprowadził w szybko narastające rozdrażnienie.

– Ty... to ty tak do mnie? – gdzieś w odległym zakątku swego rozbulgotanego umysłu przeczuwał, że jego własne słowa też są śmieszne, ale nie umiał powstrzymać rozwoju wydarzeń. – Ty tak do mnie, fiutku? No to ja cię nakarmię. – Dłoń uzbrojoną w pojemniczek z gazem wyciągnął przed siebie niczym smaczny owoc wart spalaszowania. Zrobił z pięć kroków w poprzek placu. Od mężczyzny dzieliły go jeszcze ze cztery metry, ale i tak poczuł już jego zapach.

– Woniejesz strasznie, dziadek – stwierdził ustami wykrzywionymi cierpkim popiwnym uśmiechem. – Trochę kultury by się przydało!

Wypatrzył wreszcie, jak bardzo tamten się boi. Ogarnęło go przyjemne ciepło, choć przenikały przez nie jeszcze zimne szpilki zażenowania.

– Nie rusz mnie! – mężczyzna znów zaprotestował gardłowo. – Ja tylko przypadkiem... Sprawdzić chciałem. – Wydobył wreszcie rękę ze szpary, ale nie miał odwagi oderwać pleców od samochodu, w przeczuciu tego, że gwałtowniejszy ruch przyśpieszy tylko bieg nieprzyjemnych wydarzeń. Zasłonił twarz i zastygł w pozie na poły rozpaczliwej, na poły obronnej.

– Ja też tylko sprawdzam – odrzekł Wiertas i podniecenie zaczęło mu rozpychać dżinsy. Nadciągała błogosławiona chwilka uzasadnionej przemocy. To za kurewski głos w telefonie! I za krótki lęk przed tym, co za zamkniętymi drzwiami na klatkę schodową!

Oszołomiony, jakby wlał w siebie nagle nową kolejkę piwa, przestał rozróżniać szczegóły kruchej sylwetki, prawie sklejonej z samochodem. Nie dostrzegł, że załzawione oczka, rozszerzone jeszcze przed chwilą przez strach, zwężyły się nagle w grymasie wypatrywania.

Kroków też początkowo nie słyszał, choć chrobotwały cichutko po asfalcie.

Za to mężczyzna przy samochodzie widział kogoś, kto wszedł na placyk z tej samej strony co młodzian w skórzanej kurtce i teraz deptał prawie tamtemu po piętach. Postać obleczona była w długi płaszcz z ciemnogramatowego ortalionu, szczelnie zapięty, choć deszcz nie padał od dobrych paru godzin. Czubek głowy osłaniał szpiczasty przeciwdeszczowy kaptur, a zamiast twarzy widać było zwoje czarnego szalika, sterczącego strzępiastymi kłakami na ortalionowy kołnierz.

Ratuj mnie! – prosił bezdźwięcznie stary łazęga, przygwożdżony do białego fiata. Chociaż nie rozpoznawał dzi-

wacznej osoby, bał się jej trochę. – Ratuj mnie przed złym punkiem! Ratuj mnieeee!

Nieokreślony hałas utorował sobie wreszcie drogę do umysłu Marka Wiertasa, ale brakło mu czasu na odwrócenie głowy. Stał już przy niedoszłym złodzieju, sięgając prawą ręką do jego twarzy. Na lewej dłoni, uniesionej bezcelowo na wysokość ramienia, uczył nagły uścisk, mocny i lepki lepkością skajowej rękawiczki.

Ból we wszystkich pięciu palcach był trudny do zniesienia. Marek zwałił się z przeciągłym jękiem na kolana. Tracił nosem prawe udo starego błazna. Kapsułka z gazem potoczyła się beżużytecznie pod samochód.

– Zdejmij pasek – zażądał chropawy głos zza ciemnego materiału. Klęczący chłopak potrząsnął protestacyjnie biodrami. Włosy zakryły mu górną połowę twarzy. Kości palców chrupnęły ostrzegawczo. – Zdejmij z niego pasek, a straci całą swoją siłę – powtórzył głos. – Zrób tak, a jego siła przejdzie na ciebie.

Staruszek wahał się chwilę. Obserwowały go dwie pary oczu – od dołu chłopaka, zmniejszone do rozmiarów szparek, wypełnionych bólem i lękiem. Z góry – nieznanego, czujnie i ciekawie zarazem błyszczące pod kapturem.

Wreszcie ukucnęła i sięgnął ostrożnie. Odgarnął kraciastą koszulę, wystającą luźno – jak to koszule młokosów – spod kurtki Wiertasa. Odnalazł sprzączkę paska i jał przy niej gmerać niezdarnymi palcami. Trwało to niemiłosiernie długo, a przez cały ten czas stary człowiek słyszał własny oddech i oddechy tamtych dwóch. W końcu wyłuskał długi brązowy pas i owinał go sobie wokół obu dłoni. Z rozchylnych ust chłopaka wypłynęło nieco pienistej śliny. Jego oczy były na powrót rozszerzone, wypukłe.

– Dobrze – pochwalił nieznanomy, piętrzący się nad światem niczym ortalionowa góra. – Teraz weź gaz i trzymaj przy jego twarzy.

– Ale gdzie on? – jęknął lękliwie stary.

- Tam, przy przednim kole - odrzekła postać. Starowina wymacał obły przedmiot, upuścił i znowu podniósł. Prawie przytknął go Wiertasowi do wilgotnych ust.